godło **Aleksander I**

Po tamtej stronie

„Śpieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą
zostaną po nich buty i telefon głuchy"
Jan Twardowski, *Śpieszmy się*

Dawniej codziennie kupowałem „Dziennik Zachodni" i „Wyborczą". Od trzech, może od czterech lat wszystko, co powinno mnie zainteresować, znajduję w Internecie, dlatego chodzę do osiedlowego sklepiku z gazetami jedynie we wtorki z rana. Tego dnia redakcja „Nowin" dołącza wkładkę z programem telewizyjnym na cały tydzień. Za darmo. Kładę ją na półce obok philipsa, przebiegam oczami tytuły w gazecie i po pięciu minutach takiego czytania resztę wyrzucam do śmieci (segregowanych). Wyjątkowo dłużej zatrzymuję wzrok na stronie z nekrologami. Tak też zrobiłem dwa lata temu we wtorek. Na samym dole w lewym rogu była czarna ramka, w niej wiadomość że dziś, to znaczy w tamten wtorek, o trzynastej na cmentarzu przy Ocickiej odbędzie się pogrzeb „Świętej Pamięci Saszki Szpaka". Saszki? „Odszedł od nas nagle Człowiek wielkiego serca, wyjątkowej skromności i życzliwości, któremu życie nie poskąpiło gorzkich cierpień. Tak chciał nasz Pan. Tam anielskim piórem będzie pisał poezje." Marta, gdy przeczytałem nekrolog na głos, najpierw strzeliła gromkim śmiechem, potem spoważniała i spytała, czy na pewno chodzi o Olka, tego, który mieszkał pod nami.

– A znasz innego Szpaka?

– Na moim roku był Andrzej Szpak, chyba z Kędzierzyna. Jeszcze na studiach ożenił się z Haliną Masłowską. Oboje prowadzili zajęcia ze studentami w Cieszynie, a teraz, o ile się nie mylę, są na uniwersytecie w Opolu albo Kielcach.

– Ten miał czterdzieści siedem lat.

– Kto się podpisał?

– „Grono naprawdę oddanych i jedynych przyjaciół".

– On. Na pewno on. Pijak zawsze znajdzie sobie przyjaciół takich jak sam.

– Olek owszem pił za dużo, ale nie był całkiem zepsutym człowiekiem. Po trzeźwemu…

– Jednak to musi być on – już nie miała wątpliwości moja żona. – Chociaż podają kiedy umarł? Może i na co? Pewnie zapił się na śmierć, bo co by innego?

– Nie piszą.

– Wczoraj po południu widziałam się z Zośką.

– I co?

– Nic nie mówiła o pogrzebie.

– Pewnie jednak nie ten Olek – dedukowałem. – Gdyby chodziło o tego – kciukiem pokazałem na piętro pod nami, gdzie od rozwodu z Zośką Olek się nie pokazywał – nawet były mąż nie może być obojętny byłej żonie. Przecież urodziła i wychowała jego syna.

Mimo to poszedłem na Ocicką. Jak zawsze kupiłem czerwoną różę w przycmentarnej kwiaciarni.

Jasiek, to znaczy doktor Andrykiewicz, gdy mnie zobaczył przed kaplicą, powtórzył to, czego dowiedział się od Wieśka Hładkiego, jak on nauczyciela w liceum i dawniej kolegi Szpaka. Powiedział, że Olek umarł w piątek. Nagle. Na Wiejskiej. Niedaleko noclegowni dla bezdomnych. Zachwiał się i zanim ten, który go prowadził, zorientował się, łupnął głową o krawężnik. Gdyby nie to, że z reklamówki wypadł tomik wierszy z imieniem i nazwiskiem autora na pierwszej stronie okładki i zdjęciem na ostatniej, grabarze nie wiedzieliby, kim jest zmarły.

– Pochówek na koszt opieki społecznej – obejrzawszy się, szepnął Jasiek jakby zdradzał tajemnicę i zaraz dodał, że proboszcz nie wziął ani grosza. – A powinien, bo to jego praca. I za coś musi żyć.

Ksiądz był na cmentarzu może dziesięć minut. Nawet nie poczekał, aż grabarze wpuszczą trumnę do dołu i usypią kopczyk. Powiedział to, co mówi na każdym pogrzebie, tyle że szybciej, krócej i nie wspomniał o rodzinie, poświęcił krzyż i tyle go widziałem. Wtedy z grupki mężczyzn w za dużych marynarkach, spodniach jak ze starszych braci, ale

czystych, wyprasowanych na kant, w koszulach i pod krawatami wystąpił brodaty. Zwrócił się nie do tych za jego plecami, jakby oni wszystko wiedzieli o Olku, a do mnie, Jaśka, przedstawiciela ośrodka pomocy społecznej i jeszcze do kogoś, kto przystanął z ciekawości czyj to pogrzeb. Ani razu nie powiedział, że zmarły to Aleksander czy Olek Szpak. Mówił o Saszce. Że poeta jak Norwid. I że przeczytał większość jego wierszy. Nie wszystkie mu się spodobały. Niektórych nie rozumiał. Czytał je dlatego, żeby dowiedzieć się, ile w nich jest takiego Saszki, jakiego go poznał. Zamilkł i odwrócił się do tych, którzy stali za jego plecami. Po pauzie dodał, jakby na potwierdzenie, że bardzo trudno żyć z poetą, ale jeszcze trudniej być poetą.

– W swoich wierszach Saszka celebrował wszelkie obszary własnego ego. Ta celebracja miała charakter skargi na egzystencjalne niedogodności. Czasami była zabarwiona nutą oskarżenia. Prawie o egotyzm można by poetę posądzić... O wszystkim, co się znalazło w tej książeczce i wierszach czekających na swój czas – z kieszeni marynarki wyjął tomik, jakby chciał potwierdzić to, czego dotyczą jego słowa – decydowało przeżycie, spostrzeżenie, impuls i skutek, codzienne, gorzkie doświadczenie. Utwory Saszki to leksykalne bogactwo i starania o giętość artyzmu. A przede wszystkim nigdy niezaniechane czerpanie tematów poetyckich z podmiotowego życia.

Ho, ho! Taki recenzent żyje w naszym mieście?

– Polonista – wyjaśnił Jasiek jakby czytał w moich myślach. – Był asystentem na uniwersytecie w Sosnowcu. Nie zrobił doktoratu w terminie, troszkę popijał, to go zwolnili. Przyjechał do nas. Uczył polskiego w gimnazjum. Znowu nadużywał alkoholu, więc dyrektorka nie przedłużyła z nim umowy o pracę. Żona również go przepędziła. Teraz szwenda się po mieście z tymi, którzy za nim stoją. Gdyby nie noclegownia, latem spałby na ławce w parku, a zimą na dworcu. Z jednej strony go szkoda, bo naprawdę zdolny i mądry facet, z drugiej nie ma jak mu pomóc. Choroba alkoholowa. Był na leczeniu w Toszku. Bez skutku. Skończy jak Olek.

Polonista już nie mówił o wierszach. Twierdził, że nagłej śmierci Saszki są winni jego najbliżsi. Nie powiedział, kogo ma na myśli. Zerknąłem na

Jaśka, na lewo, na prawo. Obejrzałem się. Nie dostrzegłem, żeby ktoś odniósł do siebie oskarżenie polonisty. Pewnie miał na myśli Zośkę? Ale co ona mogła zrobić, jeżeli dzień w dzień Olek wracał do domu pijany? Katował ją, ubliżał, wytłukł niemal wszystkie talerze, kubki, szklanki, szyby w drzwiach, połamał krzesła, rozbił telewizor. Gdy się awanturował, uciekała do nas. Leszka, ich syna, traktowaliśmy jak nasze dziecko. W rzadkich chwilach trzeźwości Olek klękał i obiecywał, że nigdy więcej nie sięgnie po butelkę. Każe sobie wszyć esparal. Pojedzie do Prabut na leczenie. Wróci do fabryki. Każdą złotówkę odda żonie. Znowu będzie jak na początku ich małżeństwa.

– Nie odszedłeś cały – wyartykułował polonista tonem kaznodziei. – Zostawiłeś nam swój tomik i wiersze, które wydrukujemy, żeby cały świat się dowiedział, jak wielkim byłeś poetą. To ci obiecujemy. – Odwrócił się do tych, którzy za nim stali. – Wydrukujemy?

Ci w za dużych marynarkach, spodniach jak ze starszego brata, ale czystych, wyprasowanych na kant, w koszulach i pod krawatami zgodnie kiwnęli głowami, coś mruknęli i podnieśli zaciśnięte dłonie.

– Nie przeczytałem niczego, co napisał Olek – powiedział Jasiek jakby ze wstydem w szepcie.

Nie przyznałem się, że ja także.

– Zaraz po pogrzebie pójdę do biblioteki.

*

Chodzi mi po głowie, że na ostatnim roku studiów na politechnice w Kijowie Olek był stypendystą pomu w Paczkowie czy gdzieś w pobliżu. Tam wymyślił coś, co urzędnik oceniający wynalazki w zjednoczeniu uznał za rewelacyjne rozwiązanie. Z opinią bardzo zdolnego konstruktora i dyplomem ukraińskiej uczelni został głównym inżynierem w fabryce maszyn. Przez kilka pierwszych miesięcy mieszkał w hotelu robotniczym, a wieczory spędzał z takimi samymi jak on przy butelkach wyborowej. Gdy spółdzielnia postawiła blok na Kossaka, dostał przydział na trzy pokoje z kuchnią. Ja z Martą i Michałem na pierwszym piętrze, on z Zośką i Leszkiem pod nami. Codziennie o wpół do siódmej wychodził do fabryki, po południu wracał do domu. Nie pił. Zanim Zośka zaniosła pozew o rozwód do sądu,

opowiadała Marcie, że na weselu, chrzcinach, imieninach Olek nie jadł, tylko pił, ale nigdy nie podniósł na nią ręki.

– Teściowa Zośki opowiadała, że jego ojciec przez kilka lat po ślubie nie wylewał za kołnierz, ale i się nie upijał do nieprzytomności. Piwko w sklepie, winko z kolegami. A później pił coraz częściej. Nawet sam. Potem codziennie. Po ćwiartce wracał do domu i się awanturował. Teściowa uważała, że tak samo może być z Olkiem. – Zośka przyznała się mojej żonie, a ta słowo w słowo powtórzyła mi wieczorem. – Jeżeli do tego dojdzie, to teściowa podpowiedziała Zośce, żeby się z nim rozwiodła.

Książeczkę mieszkaniową, którą założyła Leszkowi, jeszcze przed rozwodem przepisała na Olka i kupiła mu klitkę na poddaszu. Nawet wstawiła łóżko, szafę, stół i dwa krzesła. Brudny, nieogolony, w łachmanach, wracał tam na noc. Bywało, że przyprowadzał takich samych jak on. Sąsiedzi wzywali policję. Przyjeżdżali strażacy, żeby zagasić pożar, bo co rusz coś się zapalało od papierosa. Energetyka odcięła mu prąd, gazowania odłączyła gaz, elektrociepłownia zamknęła ogrzewanie, wodociągi zakręciły wodę. Nie zapłacił ani grosza czynszu, więc rok temu spółdzielnia odebrała mu klucz do klitki na poddaszu i nieświadomego tego, co się stało wykwaterowała. Cały swój dobytek zmieścił w reklamówce. Był w nim tomik i zeszyt, w którym zapisywał nowe wiersze.

Na początku przygarnął go któryś z kompanów od kieliszka. Potem widziałem go przed noclegownią dla bezdomnych. Z takimi samymi jak on siedział na trawie w cieniu klonu i czekał, kiedy otworzą się drzwi stołówki. W południe spotykałem go na ławce w parku, przez który była najkrótsza droga do bankomatu. Wtedy skamlał o pieniądze.

– Kupię ci chleb, mielonkę i butelkę wody.

Kiwał głową, ale bez entuzjazmu. Domyślałem się, że to, co mu kupię, odda kolegom albo wyrzuci do kosza.

– Pożyczysz na fajki?

– Kiedy oddasz?

Nie odpowiedział. Ci, z którymi siedział na ławce, parsknęli śmiechem.

– Fajczyć się chce jak cholera – tłumaczył. Od Olka dowiedziałem się, ile kosztują najtańsze papierosy. – I jeszcze na browarek. – Nie patrząc mi w oczy, jakby się wstydził (a może rzeczywiście się wstydził), stał z ręką wyciągniętą przed siebie.

Tylko raz, jedyny raz był inny. Wyprostowany, z głową uniesioną spacerował przed galerią po Młyńskiej. W koszuli co najmniej z reservedu modnie wypuszczonej na wranglery i pikowanej kurtce. Był ogolony i ostrzyżony. I, na co zwróciłem uwagę, nie miał przy sobie reklamówki z Biedronki.

– Cześć – zawołał z daleka, gdy szedłem do delikatesów. Podniósł lewą dłoń do czoła jakby salutował. W palcach prawej ręki trzymał papierosa. Oniemiały podszedłem do niego. W pierwszej chwili nie wiedziałem o co spytać. Dopiero po namyśle odezwałem się:

– Olek Szpak?

– We własnej osobie.

– W tym miejscu? Czekasz na kogoś?

– Czekam.

– Ostatnio najczęściej spotykałem cię w parku albo wokół niego.

– Było. Minęło.

– Kazałeś zaszyć sobie esparal? Pracujesz? Gdzie?

Przechylił głowę, przymknął oczy jakby się zastanawiał, czy powiedzieć prawdę.

– Poznałem jedną taką…

– Jesteś na jej utrzymaniu.

– Kobieta nie powinna wracać do pustego mieszkania.

– Słusznie. Szkoda że dopiero teraz to zrozumiałeś – skarciłem go tonem kaznodziei.

Kiwnął głową i strzyknął śliną pod nogi. Uśmiechnął się do siebie. Machnął ręką jakby nie chciał, abym przypominał mu to, czego nie mogłem zapomnieć. Nie tyle było mi żal Zośki, co Leszka. Chłopak nie wie, co to jest miłość ojca.

– O jednego utrzymanka będę miał mniej.

– Tak dużo ich masz?

– Wyłączając ciebie, jest Mietek, Wiesiek, Stachu… Borsuk przychodzi nawet do biura. Każdy mówi, żeby mu pożyczyć piątala na zupę, bo od rana nic nie jadł. Daję, chociaż domyślam się, że to nie na zupę. Na piwsko albo nalewkę w kartoniku i, jeżeli starczy, składka na papierochy.

– Każdemu dajesz?

– Gdybym zawsze każdemu dawał po piątalu, miesięcznie wyszłoby coś koło bańki. Prawie tydzień mojej pracy w biurze.

– O, kurwa. Aż tyle? – zrobił pytające oczy.

– Policz: co najmniej trzydzieści dni razy pięć i razy was sześciu. Bywa, że i inni wyciągają ręce.

– Ja bym nie dawał. Nie mam i już, powiedziałbym. Biorę benzynę, to płacę kartą. Potrzebuję gotówki, idę do bankomatu. Zresztą ty nie palisz, nie pijesz. Po co ci gotówka? Chyba tylko w niedzielę na tacę – roześmiał się, pokazując całkiem białe zęby.

– I żeby mieć dla takich jak Mietek, Wiesiek, ty.

– Już nie piję. Tamto było przez Zochę.

– Przez Zochę?

– Nie rozumiała mnie, kurwa.

– A co było do rozumienia w twoim zachowaniu? Zalewałeś się w trupa i niszczyłeś to, co twoja żona kupowała. I jeszcze mnie z Martą wciągałeś w swoje draństwo. Bywało, że miałem ciebie dość – przypomniałem. – Z kim teraz mieszkasz, bo pewnie nie wróciłeś do Zośki?

– Niedoczekanie jej. – Zacisnął pięść. Jego palec serdeczny zdobił złoty sygnet.

– Dobrze, że próbujesz ułożyć sobie życie. Jeszcze będzie z ciebie człowiek.

– Tak myślisz – ni to spytał, ni potwierdził. Wyjął z kieszeni paczkę stuyvesantów i zapalniczkę marki Dupont w błyszczącej oprawie. Przypalił papierosa.

– Jaka jest Zocha, wiesz dobrze. Justyna naprawdę mnie rozumie – powiedział to w chwili, gdy kruczowłosa kobieta w skórzanej kurtce wyszła ze sklepu. Przed sobą miała ogromny kosz z zakupami. Dopiero co zapalonego papierosa Olek natychmiast rzucił pod nogi zadeptał

czubkiem mokasyna. – Kiedyś pogadamy – rzucił do mnie, prawie biegnąc w jej stronę.

Dałbym głowę, że to dentystka

– Oluś, w tej chwili do mnie! Co, kolega przypomniał sobie o tobie? Pomóż mi. Pakujemy i jazda do domu – zarządziła, otwierając pilotem pokrywę bagażnika srebrzystego volkswagena sharana.

Od tamtego dnia długo nie widziałem Olka. Z radością nawet pomyślałem, że Justyna jest jedyną kobietą na świecie, która potrafiła go ujarzmić. I byłem jej wdzięczny za to, że miałem o jednego utrzymanka mniej.

Dwa, może trzy miesiące później, na pewno było to przed świętami, znowu go spotkałem. Już nie miał na sobie wranglerów i dżinsowej kurtki. Wyglądał tak, jak spotykałem go w parku, gdy wyciągał rękę po pieniądze.

– Wypierdoliła mnie, kurwa niedojebana. Na ulicę mnie wypierdoliła – przyznał się. – Dawała jakieś proszki, bo chciała mnie wyleczyć z choroby alkoholowej. O to nie miałem do niej pretensji. Tak trzeba. Miała prawo brać mnie do łóżka co noc, bo ubierała, karmiła i dała dach nad głową. Baba nie do zajechania nie tylko w łóżku. Zniósłbym i to. Ale ona, ta kurwa niedojebana, kazała mi poszukać sobie jakiejś roboty, najlepiej tam, gdzie dawniej pracowałem. Wstyd, żeby inżynier po politechnice w Kijowie nie miał roboty. Jeżeli nie wrócę do fabryki, to zwolni tę kobiecinę, co sprząta jej gabinet. Wieczorem, gdy skończy z pacjentami, miałem myć te wszystkie skalery, sondy, upychadła, tace i chuj wie, co jeszcze, zapowiedziała. Mnie, poetę, autora tomiku wierszy, chciała ubrać w kitel sprzątaczki. Niedoczekanie twoje, kurwo! Tak jej powiedziałem. I pizdnąłem ją, jej dom, jej łóżko, jej żarcie, jej ciuchy.

Nic nie wiedziałem o tomiku.

– Wydałeś książkę?

– Wiersze. Ona zapłaciła za druk.

– A gdzie można kupić te twoje wiersze? – Naprawdę bardzo chciałem je przeczytać.

– Zanim spaliła cały nakład i mnie wypierdoliła, kilka egzemplarzy zdążyłem wysłać do recenzentów. W bibliotece powinni też mieć. Jeden

z dwóch tomików noszę przy sobie. – Z reklamówki wyjął książeczkę w zafoliowanej okładce. Trzydzieści, najwyżej czterdzieści stron. Na samej górze było „Aleksander Szpak", niżej „Po tamtej stronie".

*

Marta urodziła się pierwszego listopada, dlatego tego dnia nigdy nie chodzimy na cmentarz. Idziemy tam dopiero drugiego listopada po południu. Ksiądz twierdzi, że Dzień Zaduszny jest tym, kiedy powinno się odwiedzać groby bliskich. Cztery, trzy lata temu Marta kupowała najwyżej pięć zniczy i jeszcze nam zostawało. Potem płaciła za sześć, siedem. W tym roku wzięła dwanaście. Taszczyłem je w dwóch reklamówkach. Cmentarz jest duży. Chodzimy po nim coraz dłużej. Na grobie każdego, kogo znaliśmy, zapalamy znicz, chwileczkę milczymy i idziemy do kolejnego grobu. Niektórych już nie możemy odszukać.

– Ile zostało zniczy? – spytała żona, pokazując głową na reklamówkę.

– Dwa.

– To jeden będzie dla mojej babci, drugi dla Gliniarza. – Zrobiłem pytającą minę, więc Marta wyjaśniła, że to jej kolega z pracy do niedawna. Zginął w wypadku samochodowym. – Szkoda, że nie mamy więcej zniczy. Przydałby się jeszcze jeden. Wiosną umarła mama Iwony. Bardzo ją lubiłam.

– W przyszłym roku kupimy więcej zniczy. A teraz jeden z tych dwóch, które nam zostały, zapalimy na grobie twojej babci…

– Drugi zaniesiemy do Gliniarza. Jego grób jest przy samej kaplicy. Stamtąd pójdziemy prosto na parking.

– Drugi zaniesiemy do Olka.

Marta zatrzymała się w pół kroku i otworzyła usta. Spodziewałem się, że zaprotestuje. Zawsze, jeżeli coś było nie tak, jak ona postanowiła, jeżyła się.

– Na grobie Ulki na pewno są kwiaty i pali się wiele zniczy, że brakuje miejsca na nowe. Jeden więcej, jeden mniej nic nie znaczy. Powinniśmy tam pójść, pomilczeć... Będzie to samo – powiedziałem w przekonaniu, że mam rację. – Na grobie Olka pewnie nikt nie zapalił nawet tyciej świeczuszki. Jaki on był, taki był, ale… – urwałem, bo brakowało mi

słów, przy pomocy których mógłbym przekonać żonę. Nie uwierzy, że podobają mi się wiersze Olka. – Chociaż raz zgódź się ze mną.

Marta po długim namyśle przytaknęła. Robiła tak zawsze, gdy brakowało jej argumentów przeciw mnie.

Pomyliłem się.

Grób Olka okalało usypisko z polnych kamyków, muszelek, korzeni wygiętych w dziwolągi. W wygładzony kopczyk żółtego piachu był wciśnięty wypalony znicz. Przed nim leżały dwie czerwone chryzantemy. Spod nich wystawała książeczka. Przykucnąłem.

– „Saszka Szpak, Po tamtej stronie II, Poezje".

– Zośka? – zgadywała Marta. Pokręciłem głową. – To kto?

Pomyślałem o tych, którzy w za dużych marynarkach, spodniach jak ze starszego brata, ale czystych, wyprasowanych na kant, w koszulach i pod krawatami, przyszli na pogrzeb Olka.

– Może Zośka – powiedziałem tylko dlatego, żeby nie zrobić przykrości Marcie. Niech wierzy w to, co mówi Zośka.